

Józef Baran

## Spadając, patrzeć w gwiazdy (52)

(fragmenty)



26 sierpnia

Adam Świątek, lat 46, niepiśmienny, rzeczywiście wygląda jak świętek z przydrożnej kapliczki.

Siedzimy na pniaczkach naprzeciw siebie...

Ja – góra przeżutych i przetrawionych książek, studia, dyplomy, podróże, wiara w słowo drukowane, w którym szukam recepty na szczęśliwe przetrwanie.

On – niepiśmienny (przebył w dzieciństwie zapalenie opon mózgowych i nigdy nie uczył się do szkoły), w życiu nie przeczytał żadnej książki i też żyje.

On – człowiek tutejszy, leśno-łąkowy, praktyczny, co to umie wyplatać miotły na sprzedaż, suszyć grzyby na blasze, wiórki marchwi i pietruszki na zimę, a także przyrządzać przetwory w słoikach, zakonserwować ogórki kiszzone, zakopcować ziemniaki; i ja – człek światowy, kształcony, obeznany ze wszystkim, z dwiema lewymi rękami do roboty, bo żadna z tych elementarnych umiejętności, które on ma w małym palcu, nie jest mi znana... I też żyję...

Słowem – biegunowe przeciwieństwa. Choć, kto wie, może przy zbiegu okoliczności i przypadków losowych – on mógłby być mną, a ja nim.

Nawet trochę jesteśmy do siebie podobni...

Chałupka drewniana, izdebka zapuszczona, jak to u starego kawalera, upał sierpniowy, w piecu ogień, w kącie witki na miotły, na stoliku radyjko, jedyny jego kontakt z tzw. światem. Właśnie dowiedział się, że oprócz Borzęcin, Dołęgi i jeszcze innych znanych mu miejscowości, istnieje Australia, gdzie księżyc świeci do góry nogami.

Wyjaśniam mu, dlaczego tak świeci i że ja tam byłam.

Kiwa głową – „Aino!”, że niby rozumie.

Siedzi na pniaczkach, ikonowaty, czarniawy, ale już z włosami poprzepłatanymi siwymi, jakby babim latem, z paroma uratowa-

nymi cudem zębami na przodku, żywcem wyjęty z dziewiętnastowiecznego albumu chłopów polskich.

„Godo” nieskazoną gwarą, jaką już nikt w tych okolicach nie „godo”. Zabytek, że tylko go obwozić, pokazywać i dziwować się, że taki samorodek jeszcze się uchował w epoce elektronicznej, która przemiała człowieka „na globalnie”.

Ma swój rozum i swoją zaradność, o czym świadczą kupy gałęzi i gałązek na drobno poprzycinanych, równiutko porąbanych i poukładanych przy ścianie stodoły, żeby było czym palić. To on sam jest budowniczym tej góry drewnianych, które naznosił z lasu, porąbał na pniaku na patyki, na trzaski na podpałkę.

Przetopił też słoninę na smalec.

Nasuszył suszek ze śliw i jabłek na kompot.

Wieczorami siedzi przy piecu albo przy lampie naftowej, bo elektryczności do tego leśnego zakątka wsi (!) nie doprowadzono.

Mówi, że nigdy się nie nudzi.

Na swój sposób prowadzi życie godne i okoliczni menele, zapędzający się tu czasem w poszukiwaniu pieniędzy na papierosy i jabola, mogliby się od niego – gdyby oczywiście chcieli, ale nie chcą – wiele nauczyć. Na przykład kucharzenia czy konserwowania przetworów...

Zanurzam się przez chwilę w jego soczystej, obrazowej, archaicznej polszczyźnie i czuję, jakbym dudłał udojone mleko prosto ze skopka mamy albo w źródleku leśnym się przegłędał, do którego nas prowadzi.

Przepowiada ostrą zimę, bo jarzębiny grubymi kiściami obrodziły.

Człowiek boży, pogodny, którego jednak cywilizacja, w najprymitywniejszej czterokołowej postaci, też dopadła, dokuczając mu przejeżdżającymi obok okna tirami z piaskiem ze żwirowni.

Rok temu złożyli mu wizytę wójt i „jakisik urzędniki” z propozycją rozszerzenia drogi o metr i przesunięcia części chałupki, ale się nie zgodził za żadne skarby. „Te urzędniki uprzykrzone jak muchy, wszędzie wlezo – mówi o nich – „gnieto a gnieto, to wystołem ich do diobła”.

Mimo wszystko dokuczają mu te tiry, a kurz z drogi tak mocno dał się we znaki, że pewnego dnia Świątek nie wytrzymał. Wziął siekierkę i poszedł do kierownika żwirowni, grożąc mu na tyle skutecznie, że robotnicy codziennie polewają teraz drogę koło okien Adama i nie kurzy się jak przedtem.

Raz w miesiącu przyszykowie się, ubiera kapelusz i idzie kilkanaście kilometrów do banku w Borzęcinie po rentę.

A mniej więcej cztery razy w miesiącu, w poniedziałki, wyprawia się do pobliskiego sklepu. Poza tym trzyma się wiernie jak ślimak swojego domku, pomny tego, że kiedyś, gdy go w obejściu zabrakło – okradli je Cyganie.

Codziennie drepce na bosaka – koło chałupki i do lasu, na jagody, grzyby, na czernice, bo mówi, że tak lepiej, bo „się nogi nie poci”. Zapytany o kleszcze, mówi że „ni ma zodnych klescy, ino kłómary, co mi cale stopy pokunsały”.

Ma trochę większy, ale nie o wiele więk-

szy wybieg niż dwa jego psy przywiązane do budy: Dżek i Dżok, łagodne jak i on – jego oczka w głowie.

Widok na gwieździste niebo jest za to nie mniej atrakcyjny dla Adama, jak i dla mieszkańców wielkich metropolii. Jak na niego te gwiazdy działają, czy budzą jakieś sentymentalne czy astrologiczne uczucia i skojarzenia, tego nie zdążyłem się dowiedzieć...

Na prośbę Łucka Kołodziejskiego, nauczyciela historii w Borzęcinie Dolnym, który mnie tu przywiódł, przeczytałem Adamowi wiersz „Światy”, o tym, że można być w kropli wody światów odkrywcą, a można, wędrując dookoła świata, przeoczyć wszystko...

Słuchał, słuchał, kiwał głową, ale chyba nie zrozumiał, że wiersz jest także o nim, Adamie Świątku, obywatelu kosmiczniejszej niszy zwanej Dolega. Nie pociągnął wątku i zaczął opowiadać o kunach, które mu się tłuką na stryszku nad głową jak duchy dziadków i mamy, co to kiedyś tu mieszkali, a teraz ich kosteczki leżą se „legancko” w grobowcu, „wyrzutowanym” przez Adama na cmentarzu w Dolnym Borzęcinie.

## Dalekie szkolne lata dzieciństwa

Dalekie szkolne dzieciństwo...

Zasypane niegdyś śniegami, zamglone niepamięcią, zakryte niczym zasłonami tysiącami dni i tygodni... po których niekiedy nie pozostało nic, albo jakiś drobniak, który ucpeł się pamięci niczym, rzep psiego ogona – na przykład obraz krzyczącej rówieńczy Kryśki B., gdy niepewni, zbici jak kuropatwy w stadko staliśmy na podwórku szkoły w Borzęcinie tuż przed uroczystym wkroczeniem w progi pierwszej klasy.

Dlaczego zapamiętałem ten właśnie moment, a nie inny i na czym polega mechanizm odpominania? Dlaczego drugim zapamiętanym obrazkiem jest widok nas maszerujących drogą do Bielczy i śpiewających zuchową pieśń (która to była – pierwsza, druga klasa?) o tych harcerzach, co to sobie „szli przez zielony las, nie mieli pieniędzy, ale mieli czas i śpiewali rypcium-pypcium”. Pewnie niedokładnie cytuję fragmenty piosenki, która wryła mi się w pamięć wraz z zapachem rozgrzanego asfaltu i krowich łąjnych placków, bo to była pora wiosenno-letnia.

Ach, mam jeszcze w głowie (w sercu?) jakiś przeblysł miłego wspomnienia, gdy po raz pierwszy zobaczyliśmy młodą i ładną (byłem już wtedy na to czuły) wychowawczynię panią Elżbietę Mularz (później Kowalową), która wzięła nas pod swoje opiekuńcze skrzydła chyba w drugiej klasie i poprowadziła aż do szóstej klasy.

Moja mama lubiła jeszcze długo potem powtarzać jej słowa, że albo ze mnie nie wyrośnie nic, albo będzie ze mnie Ktoś. Tajemnicze prorocтво wiązało się zapewne z pasją czytania książek przy pasieniu krów i na lekcjach pod ławką.

cdn.